

**KOBIETY,
KTÓRYCH
NIE MA.
BEZDOMNOŚĆ
Kobiet
W POLSCE**

MARGINESY

SYLWIA GÓRA

COPYRIGHT © BY Sylwia Góra

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Silnym kobietom, które mnie wychowały
Mamie i Przyjaciółce – Annie
Babci – Czesławie
Prababci – Wiktorii

WSTĘP

Ta książka była ze mną bardzo długo, ale powstawała od lipca 2019 do lutego 2021 roku. W tym czasie w Polsce i na świecie wiele się wydarzyło, choć jak zawsze królowały tematy polityczne. Od czasu do czasu pojawiały się jednak kwestie społeczne, głównie wtedy, kiedy walczyliśmy z pandemią koronawirusa. Baliśmy się o siebie, o naszych bliskich, irytował nas zakaz wychodzenia z domu, tęskniliśmy za możliwością spotkania ze znajomymi na obiedzie w restauracji, wypicia filiżanki kawy albo lampki wina w ulubionej knajpie, wyjścia do kina, na koncert, do teatru. Narzekaliśmy na głupotę innych, ale też wzajemnie sobie pomagaliśmy. Media prześcigały się w podawaniu coraz wyższych liczb – osób zarażonych i ofiar śmiertelnych wirusa. Przez te informacje bardzo rzadko przebijały się głosy ludzi, którzy na co dzień pracują z osobami w kryzysie bezdomności. Choć bardzo się starali dotrzeć do nas – zmuszonych do pozostania w domu – zagłuszał ich szum tragedii, która stała się udziałem także bogatych zachodnich metropolii.

Przyzwyczailiśmy się do obecności osób w kryzysie bezdomności na ulicach naszych miast. Stały się one niewidzialne. Ale czy ktoś z nas zastanawiał się, jak to się stało, że człowiek pod sklepem prosi o kilka złotych na bułkę, coś do jedzenia albo wprost – na piwo? Kilka lat temu spotkałam na dworcu starszą panią. Spała tam. Powiedziała, że nie ma innego miejsca, że tu jest najcieplej, najwygodniej. Jakiś czas później zaczęłam zauważać coraz więcej

takich kobiet. Kobiet, które przycupnęły na ławce w galerii handlowej, drzemały na dworcach autobusowych i kolejowych, na ławkach w parku i w działkowej altanie. One zawsze tam były. Ale przezroczyste. Nie miały kolorów, twarzy, nie wzbudzały żadnych emocji. Pozostawały niewidzialne. Nie wiem, dlaczego nagle je zobaczyłam, zaczęłam się im uparcie przyglądać, wyszukiwać je we wszystkich miejscach, w których się znalazłam. Szukałam pierwiastka, który by je wszystkie połączył. Czegoś uchwytnego, co pomogłoby mi je określić jako pewną grupę, nić, która zszyłaby ich historii w jedną wspólną. Nie znalazłam. Dlatego postanowiłam zapytać kobiety w kryzysie bezdomności z różnych miast Polski, jak znalazły się na ulicy, w pustostanach, na dworcach, w noclegowniach, schroniskach. I wreszcie: czy i jak udało im się znaleźć własny kawałek miejsca. Dom. Bo są też takie, które go odnalazły.

Lubimy myśleć schematami. Ja też nie jestem od nich wolna, ale kiedy postanowiłam, że chcę opowiedzieć historie tych kobiet, starałam się wyrzucić z głowy wszystkie wyobrażenia. Nie było łatwo. Zwłaszcza że wciąż spotykałam się z opiniami i ostrzeżeniami: „Musisz uważać, większość tych kobiet jest na ciągłym rauszu. Szczególnie te, które przebywają poza ośrodkami. Czasem idą na detoks, ale najczęściej wracają do picia. Nigdy nie ufaj alkoholikom. Alkoholizm to choroba i każdemu choremu należy się pomoc – leczenie – ale nie można ufać pijącemu. Nigdy. Nie wierzyć w żadne jego słowo. To stek kłamstw, które mają wzbudzić w tobie żal, a potem prowadzić do pomocy polegającej na tym, że pozwalasz mu dalej pić”. Błędne koło, z którego bez silnej woli i ogromnego wsparcia innych osób po prostu nie ma wyjścia. Przeczytałam na ten temat dziesiątki książek. Przegadałam go z wieloma ekspertami. Ograniczone zaufanie to podstawa.

Jak zatem rozmawiać z bezdomnymi kobietami, które od wielu lat piją? Jak im zaufać i uwierzyć, że to, co mówią, to prawda, a historie, które snują, zdarzyły się naprawdę? Jeśli mogłam, weryfikowałam ich wersje ze streetworkerami, wolontariuszami, opiekunami z pomocy społecznej, psychologami, dyrektorami i wychowawcami placówek. Jeśli nie było to możliwe, musiałam po prostu uwierzyć. Znaleźć w sobie podstawową umiejętność, jaką jesteśmy obdarzeni – wiarę w to, że inni ludzie nie mają żadnego interesu w tym, by nas okłamywać. A przecież w tych konkretnych przypadkach tak właśnie było. Żadna z kobiet nie dostała ode mnie niczego w zamian – poza tym, że wysłuchałam jej historii. Ale może to wystarczyło. Wielu reporterów lubi powtarzać, że nie istnieje prawda, że nie można być obiektywnym. Filozofowie się z tym nie zgadzają. Jeśli granice staną się płynne, stracimy możliwość określania rzeczywistości. Zapanuje chaos. Chcę, żebyśmy odpowiedzieli sobie na pytanie: Czy bohaterki tej książki mówią prawdę, całą prawdę i tylko prawdę? Ja wierzę, że podzieliły się ze mną swoją prawdą, a tej nie mam prawa kwestionować.

Rozmawiałam z kilkudziesięcioma kobietami, które przebywały w bezdomności ulicznej, korzystały z noclegowni, mieszkały w schroniskach dla bezdomnych kobiet, mieszkaniach chronionych, wspomaganych, treningowych, a także były uczestniczkami programu Housing First („Najpierw mieszkanie”). Nagrałam prawie wszystkie rozmowy. Znałam imiona, a czasem też nazwiska moich bohaterek, zagwarantowałam im jednak anonimowość. Nie zawsze jej chciały, ale etyka pracy reporterki, którą poznałam między innymi w Polskiej Szkole Reportażu, nie pozwoliła mi na podanie szczegółowych danych, dokładnego miejsca pobytu ani znaków szczególnych moich rozmówczyń, gdyż te

pozwołyłyby je bez problemu rozpoznać. Ich sytuacje życiowe są na tyle skomplikowane i niepewne, że rozgłos na pewno by im się nie przysłużył.

Próba zrozumienia niewidzialności kobiet bezdomnych wśród osób w kryzysie bezdomności zaprowadziła mnie do różnych miast i wsi w Polsce: do Krakowa, Klucza, Zabrze, Katowic, Dąbrowy Górniczej, Częstochowy, Kielc, Łodzi, Warszawy i Gdańska. Większość tych miast leży w województwach, gdzie według ostatniego Ogólnopolskiego badania liczby osób bezdomnych z 2019 roku żyje najwięcej osób bez dachu nad głową. Na pierwszym miejscu znajduje się województwo mazowieckie z 4278 osobami bezdomnymi, na drugim śląskie z 4255 osobami, na trzecim pomorskie z 3014. Województwa małopolskie (1893 osoby) i łódzkie (1788 osób) znajdują się w środku listy – kolejno na siódmym i ósmym miejscu. Wybrałam też województwo, które jest jednym z dwóch zamykających listę – świętokrzyskie (794 osoby bezdomne).

To sześć z szesnastu województw w Polsce. W którymś momencie zrozumiałam, że bezdomność kobiet w Warszawie nie różni się szczególnie od bezdomności kobiet w Kielcach. Ale bezdomność A różni się od bezdomności B, a bezdomność B od bezdomności C. To opowieść o nas – kobietach. Ale to także opowieść o każdej spotkanej przeze mnie osobie, która jest niewidzialna właśnie dlatego, że jest kobietą bezdomną.

WOJEWÓDZTWO MAŁOPOLSKIE

Kraków

Piątkowy wieczór tuż przed świętami Bożego Narodzenia 2019 roku w Krakowie. Jedna z ulic w Śródmieściu. Wzdłuż drogi rząd zaparkowanych aut. Za niskim, nowo wybudowanym blokiem skręcamy w lewo i wchodzimy między drzewa, wśród resztek tego, co mogło być kiedyś polem. Słychać głośny śmiech. Kilkunastoosobowa grupa młodych ludzi lekko wzdryga się na widok straży miejskiej. Zajęli coś na wzór amfiteatru, który lata swojej świetności ma już dawno za sobą. Piją piwo, ale wyłapują wzrokiem szybko chowane butelki wódki. Świetne miejsce na bifor przed imprezą w klubie na Rynku. Z dala od niechcianych spojrzeń. Podobnie pomyśleli trzej mieszkańcy czegoś, co przypomina bunkier, a może być pozostałością po pałacu, który mieścił się tu w XIX wieku. Pukamy. Przekraczamy wysoki próg – dwa łóżka, dwa krzesła, szafka, piecyk, drewno na opał, zimowe buty na zmianę, koce, termos. W rogu pomieszczenia ręcznie robiona niebieska śnieżynka przypominająca, że za kilka dni Wigilia.

B. ma trzydzieści pięć lat, ale wygląda na dużo więcej. Ze względu na kłopoty skórne musiała ogolić głowę i wstydzi się zdjąć czapkę, choć w pomieszczeniu jest ciepło. Ogrzewa je piecyk typu koza. Oprócz niej mieszkają tu dwaj mężczyźni – jej

nowy partner i przyszywany dziadek, który na ulicy jest od lat osiemdziesiątych XX wieku. Na oko może mieć osiemdziesiątkę. Wszyscy schludnie ubrani. Dbają o swój dom, chcą, żeby było w nim czysto, zwłaszcza przed świętami. B. miała siedemnaście lat, kiedy spędziła pierwszą noc na ulicy. Uciekła z domu. Miała wiele powodów. Jednym z nich było molestowanie przez starszego o siedem lat brata. Mama nie chciała wierzyć. Jej syn? Niemożliwe. Małżeństwo miało być nowym rozdziałem w jej życiu. Było. Mąż lubił sobie ulżyć po ciężkim dniu pracy. Podbite oko, złamany nos. Ale można było przeżyć. Wezwała nawet policję, ale tylko stała z tym podbitym okiem, kiedy mąż wdał się w pogawędkę z mundurowym, i nie mogła wykrztusić słowa.

Gdy na świecie pojawiło się dziecko, niewiele się zmieniło. No może poza tym, że teściowie uznali, iż to nie jest dziecko ich ukochanego syna. Że B. się puszcza, kurwi. Prosiła o pomoc drugiego brata, ale w końcu jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. W 2009 roku zgłosiła przemoc domową w Niebieskiej Linii. Wyprowadziła się do rodziców, ale jej ojcu przeszkadzało dziecko. Za dużo płakało. Nie mógł nawet w spokoju pooglądać telewizji. Zaczęła popijać. Sama nie wie dlaczego. Najpierw zrezygnowała z pracy, bo nie miał się kto zająć małym, potem trochę rozdawała ulotki, sprzątała, ale nie potrafiła znaleźć niczego na stałe. Uznali, że nie nadaje się na matkę, i synek trafił do swojego ojca. Ostatnią wypłatę z dorywczych prac przepiła. Nie miała siły walczyć o dziecko. Ma ograniczone prawa. „A alkohol – jak mówi – szybko zabija uczucia”. W lutym 2019 roku rozmawiała z synem na Facebooku. Gra w szachy i bierze udział w turniejach. Ostatnio zajął drugie miejsce. Rodzice? Mieszkają pod Krakowem. Ma z nimi kontakt, ale nie wiedzą, że jest bezdomna. Wstydzi się jechać do domu, więc mówi im, że pracuje i ma się dobrze.

W Krakowie jest oficjalnie około pięćdziesięciu pustostanów, które na bieżąco patroluje straż miejska i streetworkerzy z różnych organizacji. Oficjalnie. Nieoficjalnie mówi się o stu pięćdziesięciu. Liczbę osób bezdomnych w Małopolsce szacuje się zaś na dwa i pół do trzech tysięcy osób, choć wyniki Ogólnopolskiego badania liczby osób bezdomnych z 2019 roku, które co dwa lata zleca Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej, mówią, że jest ich dokładnie 1893. Dlaczego te liczby tak się różnią? Odpowiedzi warto poszukać w systemie, do którego trafiają osoby w kryzysie bezdomności. W 2019 roku w Polsce 682 placówki były współfinansowane ze środków publicznych, z czego 323 były prowadzone bezpośrednio przez gminę albo powiat, natomiast pozostałe 359 to jednostki zarządzane przez podmioty niepubliczne. Co to oznacza? Że są to fundacje, stowarzyszenia lub instytucje mające status działalności gospodarczej.

Fundacją jest też Przystań Medyczna z Krakowa, która oficjalnie powstała w 2017 roku, ale Mateusz Gajda – jej współzałożyciel – już od ośmiu lat pomaga osobom w kryzysie bezdomności. Najpierw jako wolontariusz w Centrum Dzieła Pomocy św. Ojca Pio. Jednak pomoc stacjonarna to dla niego za mało. W Centrum to osoby bezdomne przychodzą po pomoc. A co z tymi, które z różnych względów same się po nią nie zgłaszają? Takie pytanie zadawał sobie Mateusz, a jego odpowiedzią stała się właśnie Przystań Medyczna. Jako lekarz w trakcie stażu podyplomowego w dziedzinie ortopedii wiedział, czego najbardziej brakuje osobom bezdomnym – pomocy medycznej. Nie mogą przecież iść do najbliższej przychodni, szpitale również niechętnie udzielają im pomocy. Dlatego Fundacja Przystań Medyczna za nadrzędny cel stawia sobie „pomoc medyczną dla

osób bezdomnych, ubogich i społecznie wykluczonych, uznając nadrzędną rolę zdrowia w powrocie do życia w społeczności”^{*}.
A tak po ludzku?

Fundacja powstała z potrzeby, jaką dostrzeżliśmy, pojawiając się pierwszy raz na Plantach. Kiedy człowiek siedzi zamknięty w czterech ścianach, nie dostrzega skali problemu, jaki istnieje po drugiej stronie. To nam otworzyło oczy na to, ile osób potrzebuje pomocy i nie ma jak jej uzyskać, bo zagmatwało się w alkohol. Często nie był on przyczyną bezdomności, ale mechanizmem kompensacji problemów, próbą zapomnienia, chwili beztroski. Ci jednak nie mogli skorzystać z pomocy w Centrum Dzieła Pomocy św. Ojca Pio, bo tam wymagana jest trzeźwość. My patrzymy na to już nieco inaczej, to choroba jak każda inna, a nagle odstawienie alkoholu może nawet zabić. Nie możemy zatem mówić jak przeciwnicy naszej pomocy: „Niech przestanie pić teraz, to mu pomożę”. Stąd mimo braku sprzętu ruszyliśmy na trudną wyprawę z potrzebującymi, po kolei zdobywając najpierw jeden, potem kolejny i następny plecak. Najtrudniej było zimą, zarówno nam, jak i naszym podopiecznym. Rozbieranie się na dziesięciostopniowym mrozie czy dezynfekcja dłoni w tej temperaturze to istna tortura, ale zarazem jedyna szansa na poprawę stanu zdrowia. Na szczęście udało się pozyskać ambulans, który zmienił warunki naszej pracy na o niebo lepsze niż te, do których przywykliśmy my i nasi podopieczni. Obecnie szukamy większego ambulansu, bo nasze możliwości diagnostyczne i asortyment rozrosły się na tyle, że obecna karetka jest za mała do udzielania możliwej pomocy. Następnym krokiem, który się powoli dokonuje, jest otwarcie przychodni dostępnej dla każdego potrzebującego. Liczymy, że w końcu uda się spełnić nasze marzenie – kompleksowe centrum pomocy dla osób bezdomnych i ubogich. Marzy nam się pełne zaplecze medyczne,

^{*} O Fundacji, bit.ly/3FIHhBp, dostęp 19.07.2021.

terapeutyczne i socjalne, które zaczną wyciągać osoby z kryzysu, a nie będzie jedynie punktem przetrwania i stagnacji.

W grudniu 2019 roku w fundacji działało dziesięciu lekarzy (między innymi ortopeda, radiolog, lekarz rodzinny, anestezjolog, internista) i około trzydziestu wolontariuszy związanych z kierunkami medycznymi, ale nie tylko. Pod koniec 2020 roku było ich już blisko sześćdziesięciu. Wszyscy, również lekarze, pomagają w ramach wolontariatu. W środy i niedziele można ich spotkać na Plantach, gdzie zawsze przychodzi około pięćdziesięciu osób bezdomnych, które potrzebują porady lekarskiej czy opatrzenia ran. W co drugi czwartek wolontariusze jadą do Schroniska dla Bezdomnych Kobiet Caritas Archidiecezji Krakowskiej przy ulicy Sołtysowskiej 13 C, w soboty do jadłodajni siostr albertynek przy Woronicza 10, we wtorki do Noclegowni i Schroniska dla Bezdomnych Mężczyzn przy ulicy Makuszyńskiego 19 A, a oprócz tego w okresie jesienno-zimowym wraz ze strażą miejską (dwa specjalnie delegowane zespoły – Referat Koordynacji Służby, Sekcja Wsparcia) jeżdżą do pustostanów, gdzie przebywają osoby bezdomne.

Swoje poszukiwania bohaterek do tej książki zaczynam właśnie w piątek po południu razem z Mateuszem z Przystani Medycznej oraz strażnikami miejskimi. Od grudnia patrolują tak zwane miejsca niemieszkalne od siedemnastej do szóstej rano, w okresie letnim w ciągu dnia. Jest 13 grudnia.

Od 1 grudnia odliczamy dni do świąt. W tle zagraniczne szlagiery i tradycyjne polskie kolędy. Życzymy sobie radosnych, rodzinnych, pełnych ciepła i miłości albo bardziej przyziemnie – trafionych prezentów pod choinką, karpia bez ości i tak dalej. Po świątach narzekamy na przejedzenie, a tony tego, co zostało ze świątecznego stołu, lądują w śmietniku pod blokiem.

Później odhaczymy jeszcze zabawę sylwestrową, wypijamy szampa z brokatem i wracamy do codzienności. Ale co, jeśli ta codzienność to ulica, stary zagrzybiały materac przy śmietniku, wyrzucona podczas kolejnego remontu kanapa albo ławka w parku?

Grudzień to chyba najtrudniejszy miesiąc dla osób w kryzysie bezdomności. Bezdomność słabo wpasowuje się w świąteczny klimat. Zwłaszcza ta, która nie „przechowuje” się w ośrodkach, ale jest wystawiona na widok publiczny. Taka jak ta, której doświadcza E. Ma sześćdziesiąt cztery lata i od dziesięciu lat mieszka na ulicy. Obecnie w dzielnicy Prądnik Czerwony, na kanapie przy śmietniku niedaleko budynku, w którym kiedyś sama mieszkała. Jest doskonale znana mieszkańcom okolicznych bloków. Pokazuje mi konkretny budynek.

Mieszkałam tutaj niedaleko, w tamtym budynku, ale nas stamtąd wysiedlili, nie dali nam w ogóle żadnych mieszkań. To były mieszkania gminne, mieszkałam tam około dziesięć lat, a teraz na tym miejscu jest jakiś nowy budynek. Najpierw wprowadzili duże czynsze, a mieszkanie naprawdę było tak dziadowskie – wilgoć niepojęta, ściany czarne, sufit czarny. Ja wiecznie kasłałam. I tak nas powyrzucali jak śmieci. Cztery osoby. Reszta osób wynajęła sobie mieszkania, ale mnie nie było stać. Od tej pory mieszkam na ulicy.

Jej stan zdrowia nie jest najlepszy. Ma duże odleżyny, bo właściwie nie wstaje z kanapy. Nie chce jechać do żadnego ośrodka, bo nie jest sama – ma tutaj dobrego kolegę, który sam sobie nie radzi. Miłość?

Jaka miłość, po prostu zwyczajne ludzkie podejście do sytuacji. Nie zostawię człowieka, który też potrzebuje pomocy. Przecież ja tego drania nie mogę zostawić samego, a nie mogę go ze sobą nigdzie wziąć, bo on jest awanturny i wszędzie by mnie wyrzucili, taka prawda.

Miała pracę, z której była dumna – w rektoracie jednej ze szkół wyższych w Krakowie. Potem na świecie pojawiło się dziecko, a rodzice i mąż namówili ją, żeby została w domu i zajęła się synem. Dziś nie ma z nim kontaktu.

Byliśmy naprawdę dobrą rodziną. Bardzo się z synem kochaliśmy, często widywaliśmy. Pewnego dnia po prostu nie przyszedł na spotkanie ze mną i więcej go nie widziałam.

O jej sytuacji nie wie nikt z rodziny.

Ja już przywykłam, człowiek może się do wszystkiego przyzwyczaić. Na początku się bałam. Bardzo się bałam. Spałam na działkach i zagazowali nas. Obudziłam się i wybiegłam boso. To była młodzież, chuliganeria. Oni nie mają w głowie normalnie, chcą tylko się w jakiś sposób wyżyć.

Dziś nie narzeka na swoją sytuację. Tak się poukładało. Ma za to wyjątkowo życzliwych sąsiadów, co jest prawdziwą rzadkością u osób w kryzysie bezdomności.

Mam niesamowite wsparcie od ludzi, sąsiadów tutaj, ile ja ciepła doznaję. To jest piękne, można wierzyć w ludzi, bezapelacyjnie. Przez te dziesięć lat nie mogę narzekać, tutaj mam dom.

Kraków ma blisko 780 tysięcy mieszkańców i jest podzielony na osiemnaście dzielnic. Osoby bezdomne przebywają przede wszystkim blisko centrum – w dzielnicy Stare Miasto, gdzie są najbliższe ośrodków pomocy, ale także turystów, których można poprosić o pieniądze. Dają je chętniej niż mieszkańcy miasta. Według Ogólnopolskiego badania liczby osób bezdomnych z 2019 roku z żebractwa w całej Polsce utrzymuje się 1166 osób bezdomnych.

W Śródmieściu odwiedzamy R. Ma pięćdziesiąt jeden lat i razem ze swoim partnerem mieszka w bunkrze. Tym razem nie ma drzwi, mebli, pieca czy innych przedmiotów, które widziałam

u poprzedniej bohaterki. Jest przeraźliwie zimno, więc nic dziwnego, że znajdujemy R. zakopaną pod stertą brudnych kołder i ubrań. Zdążyła już trochę wypić, żeby się rozgrzać. Jest bardzo radosną osobą, dużo się śmieje, z widoczną satysfakcją przedstawia nam swojego partnera, mimo że na jej twarzy i ciele widać sporo świeżych siniaków, które – jak mówi – nabiła sobie zupełnie przypadkiem, przez nieuwagę. Są razem od piętnastu lat, choć z przerwami. Jej partner odbywał karę więzienia w Nowym Wiśniczu. Nie zdradza, z jakiego powodu się tam znalazł. R. straciła mieszkanie w wyniku eksmisji jakieś piętnaście lat temu. Nie płaciła czynszu. Mama R. żyje, ale nie chce mieć z nią kontaktu, dwóch przyrodnych braci też nie. Dzieci? Dorosłe. Szóstka. Chyba nawet jej szukały, ale nie chce, żeby wiedziały, w jakiej jest teraz sytuacji. Nie wybiera się do noclegowni, bo mówili jej, że tam jest złodziejstwo, a ona dba o swój wygląd. Pokazuje nam kolorowe ubrania – nieco zbyt strojne sukienki, kapelusze, szale, woalki. Żyje i pije dzięki rencie przyznanej z powodu niepełnosprawności. Nie potrzebuje pomocy medycznej, więc idziemy dalej.

Nowa Huta to kolejna dzielnica, która daje sporo możliwości osobom pozostającym w bezdomności ulicznej. Opustoszałe, zrujnowane budynki stają się schronieniem dla wielu osób. Jeden z nich to dawny hotel, gdzie dziś leżą kilogramy potłuczonego szkła, stare meble, łóżka, a szyb windy jest otwarty. Został szkielet – oddzielne pokoje, pozostałości po węźle sanitarnym, salach konferencyjnych. Można mieć odrobinę prywatności. Zwłaszcza w pokojach, z których nie rozkradziono drzwi. Pukamy do jednego z nich. Mężczyzna i kobieta jedzą właśnie posiłek – kluski z grzybami. Pytamy o stan zdrowia, a strażniczka dopytuje o możliwość ciąży. Słyszała o tym od kogoś stąd. Kobieta stanowczo

zaprzecza. Nie chce ze mną rozmawiać. Nie naciskam. Przechodzimy do kolejnych pomieszczeń, ale jest na tyle wcześnie, że nie zastajemy większości mieszkańców.

Nieco dalej mieszkała E. Ma trzydzieści sześć lat i od jakiegoś czasu choruje na raka piersi. W garażu był z nią partner, który regularnie ją bił. Strażnicy miejscy od miesięcy próbowali ją przekonać, żeby poszła do Specjalistycznego Ośrodka Wsparcia dla Ofiar Przemocy w Rodzinie na osiedlu Krakowiaków. Dwa tygodnie temu E. postanowiła spróbować, ale nie mamy pewności, czy została w ośrodku. Dlatego jedziemy sprawdzić, czy nie ma jej w garażu. Udało się. Nie ma jej, nie wróciła do swojego agresora. Czy nie wróci? Nigdy nie ma pewności. Kobiety w bezdomności ulicznej bardzo rzadko pozostają same. Szybko znajdują partnera, który gwarantuje im minimum bezpieczeństwa. Na ulicy czeka na nie bowiem wiele odmian przemocy. Psychiczna. Fizyczna. Finansowa. Seksualna. Są mocno uwikłane w nowe związki i godzą się na bardzo wiele. Również na różne rodzaje przemocy. Doświadczenie jej od bliskiej osoby jest lepsze niż od licznych obcych. Jest znajoma, można do niej przywyknąć.

Jedziemy jeszcze w kilka miejsc, ale w większości z nich spotykamy samych mężczyzn. Wyjątek stanowi namiot nad Wisłą. Trudno się tam wspiąć. Zwłaszcza zimą, w nocy, kiedy ziemia jest pokryta szronem. Piękny widok po drugiej stronie rzeki. To jedna z najładniejszych dzielnic Krakowa. Idealna na spacer z czworonogiem albo rodzinne pikniki. Idziemy przez kilka minut, żeby znaleźć namiot ukryty w krzakach. Po drodze musimy uważać na fekalia. W namiocie nie ma przecież toalety. Witamy się, ale nikt do nas nie wychodzi. Krótką rozmowę przeprowadzamy przez ścianę materiału. Proponujemy pomoc medyczną, podajemy adresy placówek, gdzie można się ogrzać, zjeść coś ciepłego,

ale kobiecy głos, który nam odpowiada, nie jest zainteresowany żadną pomocą. Słyszymy szepty. Kobieta nie jest sama, choć mówi co innego. Nie potrzebuje pomocy. Ma koce. Nie jest głodna. Nie jest chora. Słyszymy wyraźny, głośny kaszel, który może być oznaką gruźlicy, ale nie narzucamy się dłużej z pomocą. Jedną z podstawowych zasad pracy w terenie: nie zmuszasz nikogo do przyjęcia pomocy, nie narzucasz się z nią i nie twierdzisz, że wiesz najlepiej, co jest potrzebne konkretnemu człowiekowi. Swoją patrol kończę około drugiej w nocy. Strażnicy miejscy wrócą jeszcze do niektórych miejsc, by się upewnić, czy ktoś nie zmienił zdania i nie chce przenieść się do ogrzewalni czy noclegowni.

Osoby bezdomne funkcjonują w tak zwanym systemie schodkowym lub drabinkowym. Ogrzewalnia jest najniższym progiem. Według Modelu Gminnego Standardu Wychodzenia z Bezdomności głównym celem ogrzewalni jest zmniejszenie liczby osób bezdomnych zasiedlających miejsca niemieszkalne lub pozostających bez dachu nad głową. Jest to placówka interwencyjna, która daje możliwość ogrzania się, zwłaszcza w sezonie jesienno-zimowym, ale może funkcjonować przez cały rok. Do ogrzewalni może przyjść każda osoba bezdomna, która jest samodzielna i nie wymaga opieki, a jej stan nie zagraża ani jej, ani innym osobom. To w zasadzie jedyne miejsce, gdzie mogą przebywać osoby pod wpływem alkoholu (w zależności od miasta może to być od 0,5 do 1,5 promila, nie ma regulacji prawnej).

W ogrzewalni nie trzeba przedstawiać żadnego zaświadczenia, że jest się osobą bezdomną. Pracownik przeprowadza jedynie wywiad pod kątem ewentualnych zagrożeń związanych ze zdrowiem i życiem przyjmowanej osoby i zapoznaje ją z treścią regulaminu, którego musi ona przestrzegać przez czas pobytu w placówce. Ogrzewalnie w różnych miastach świadczą

różnorakie usługi. Mogą to być: konsultacje lekarskie, kąpiel, odwszawianie, wymiana odzieży, podanie ciepłego napoju lub posiłku. Zawsze przekazywana jest też informacja o innych możliwych formach pomocy, które oferują noclegownie czy schroniska dla osób bezdomnych. W ogrzewalni nie ma łóżek, są zapewnione tylko miejsca siedzące – ławki lub krzesła.

Stopień wyżej znajdują się noclegownie, czyli placówki zapewniające tymczasową pomoc w postaci schronienia (miejsca noclegowego), a często także pakietu usług ukierunkowanych na wzmacnianie aktywności społecznej, wyjście z bezdomności, uzyskanie samodzielności życiowej. Najczęściej w noclegowniach obowiązuje nakaz całkowitej abstynencji, choć jeżeli w danym mieście nie ma ogrzewalni, w okresie jesienno-zimowym powinno się uwzględniać wyjątki od tej reguły. Decyzja należy jednak do kierowników placówek, bo nie ma żadnej regulacji prawnej w tej kwestii. W noclegowniach często jest zapewniany jeden ciepły posiłek. Ten rodzaj placówki działa tylko w godzinach wieczorno-nocnych. Każde miasto ma swoją specyfikę. Najczęściej poszczególne miejscowości różnią się przedziałami czasowymi – od osiemnastej do szóstej rano, od dziewiętnastej do siódmej, rzadziej od dwudziestej do ósmej.

W noclegowniach oprócz kierownika i opiekunów swoje biura mają także pracownicy socjalni, którzy razem z osobą bezdomną wypracowują dalszy plan działań związanych z pomocą. Po wpisaniu na listę mieszkańców przygotowywana jest krótka diagnoza sytuacji konkretnej osoby i jej dalszych potrzeb. Często oprócz ciepłego posiłku czy odzieży jest to także pomoc w wyrobieniu dowodu osobistego czy innych dokumentów i zachęta do podjęcia próby zamieszkania w schronisku dla osób bezdomnych. To trzeci stopień na drabince. Większość ogrzewalni i noclegowni

jest przeznaczonych dla mężczyzn. Przede wszystkim dlatego, że jest ich więcej niż kobiet.

14 grudnia, sobota. Jadę karetką z Mateuszem Gajdą do jadłodajni siostr albertynek przy ulicy Woronicza 10, gdzie w wydzielonym pomieszczeniu co sobotę Mateusz – albo inny lekarz – udziela pomocy medycznej wszystkim zainteresowanym osobom. Dwa pokoiki. W jednym poczekalnia dla pacjentów – dwa krzesła i łóżko. Na ścianie obraz Ojca Pio i Maryja z Dzieciątkiem. W drugim gabinet lekarski – łóżko, biurko, parawan, wc. Mateusz przepisuje leki, zachęca do dalszego leczenia, opatruje rany. Zawsze jest przynajmniej kilka chętnych osób. Siostry albertynki prowadzą tu stołówkę dla osób ubogich i bezdomnych wraz z punktem charytatywnym. Zostawiam Mateusza z pacjentami i idę do stołówki. To duże pomieszczenie z drewnianymi stolami i długimi ławami. Przypomina nieco wystrój zakopiańskiej knajpy. Pytam niewysokiej siostry w szarym habitcie, czy może zna jakąś kobietę, która chciałaby się podzielić swoją historią. Odpowiada, że rozleje tylko zupę pomidorową i ogłosi moją prośbę. Może któraś z pań się zdecyduje.

Czekam na zewnątrz, zaglądam do ogrodu i witam się z osobami, które palą przed budynkiem. Z zewnątrz wygląda dobrze. Można usiąść na ławce i poczuć się prawie jak we własnym przydomowym ogródku. Podchodzi do mnie starsza kobieta z czerwono-różowymi włosami i mówi, że chętnie porozmawia. D. od razu się przedstawia. Jedynie z wiekiem ma problem, ale w końcu przyznaje się do swoich sześćdziesięciu czterech lat.

Tak dosłownie to nie jestem bezdomna, ale swojego domu nie mam. Mieszkam u znajomych, ale jak mnie coś tam denerwuje, to wychodzę bez problemu, zawsze mam gdzie pójść. Ale przychodzę tu do siostr zjeść, żeby nie obciążać osób, u których mieszkuję. Teraz na przykład jestem

w takim mieszkaniu wojskowym, bo tam został syn takiego wojskowego, który ma raka i jest sam – ojciec nie żyje, matka nie żyje, siostra nie żyje. I on kogoś przygarnął i ta przygarnięta osoba mnie tam zaprowadziła. No to poszłam. Wcześniej pomagałam komuś właśnie za to, że mogłam tam mieszkać. To był samotny mężczyzna, ale...Nie chcę powiedzieć brzydko...Taka straszna dziamdzia. Dał mi największy pokój, a sam mieszkał w takiej kanciapce, ale tam się nie paliło, w sensie w piecu. I ja działałam w kuchni, pralam, bo pralka była, gotowałam. Ale przyszedł ten czas, że z izby budowlanej powiedzieli, że trzeba ten budynek opuścić i my poszliśmy na pierwszy rzut. Wtedy trzeba było opuścić mieszkanie, bo groziło zawaleniem. I w tym mieszkaniu odwiedzał mnie taki mój podstawowy kolega, który mieszkał w pustostanie. Ja się zawsze tak śmiałam, że on jest mój podstawowy kolega. I ja do niego później dołączyłam. Bo on powiedział, że przecież mnie nie zostawi w krzakach czy gdzieś pod mostem, tylko: „Idziesz do nas!”. No i mieszkaliśmy tam z pięć–sześć lat. Ale przyszedł taki niedobry człowiek bez ręki, bez dłoni, siedział dość długo w więzieniu. I się przyplątał. Za mną oczywiście, ale nie widziałam, że on idzie za mną. I się panoszył bardzo i chłopaki nie wytrzymywali. Mój kolega wziął go pod płot i tamten dostał łomot, i ze złości podпалиł nam pustostan. W środku był jeden piekarz, co przyszedł z nocnej zmiany i się położył, to go obudzili już strażacy i kazali natychmiast opuścić, bo mogły butle z gazem wybuchnąć. Bo mieliśmy butle z gazem, wszystko było tak jak w domu, tylko światła nie było. Wodę chłopaki w baniakach pięciolitrowych nosili, do umycia podgrzewali. Potem poszłam do takiego ogrodu mieszkać, niedaleko – taki zadaszony, zaciemniony. Jak pani z MOPS-u przychodziła, to mówiła: „Jak pięknie tutaj macie”. No ale nadchodziła zima. Nasz kolega na wózku dorabiał sobie w złomie – bo on nie mówił, że jest inwalida i ma dwie lewe ręce – i jeszcze tata mu wysyłał pieniądze, i nasze renty, i sobie wynajęliśmy mieszkanie. No i teraz mieszkam w tym mieszkaniu wojskowym. Swoje

mieszkanie? Ja zostawiłam dzieciom mieszkanie wojskowe po tacie i poszłam sobie w siną dal, na zieloną łączkę...Dostownie. Moja córka jest wielka pani, pracuje w dużej korporacji, więc wie pani...To syn pytał zawsze: „Co mamusi pomóc?”. No nie tyle że zna moją sytuację, tylko z nim bym się bardziej dogadała. Tam w mieszkaniu teraz mieszka mój syn, mama kazała się umieścić w domu pomocy społecznej, a córka kupiła sobie garsonierę gdzieś obok. Po wyjściu ze swojego mieszkania długo mieszkalam z mężczyzną młodszym ode mnie o dziesięć lat, nawet ślub był zamówiony, bo ja byłam po rozwodzie, ale mówię tak: „On nie ma pracy, ja nie mam pracy i co, na garnuszkę u jego tatusia będziemy oboje?”. Jakoś niefajnie byłoby, a wtedy o pracę było ciężko. To był 1999 rok, może 2000. A w 2007 roku dostałam udaru, na same święta, jak teraz, i do 2008 roku byłam w szpitalu, tam mi zrobili rehabilitację. Mówili: „Ta pani się garnie do życia”. Bo mnie lekarz przytapał na chodzeniu, a wszyscy leżeli i spali. Zaraz po udarze mieszkalam w schronisku na Sołtysowskiej, bo nic koło siebie sama nie mogłam zrobić. Mieszkalam tam około trzech lat, jakbym została, to może mieszkanie mogłabym dostać. Na początku było fajnie, ale potem taka Armenka, która mieszkała ze mną w pokoju, zaczęła trochę fiksować i pomyślałam, że co ja sobie będę nerwy psuła. Wtedy jak ja mieszkalam, to było dużo matek z dziećmi, teraz słyszałam, że już tylko kobiety same są. Ktoś mi tłumaczył, że teraz dzieci do izby dziecka dają. Po tym udarze lewa ręka wisiła mi przez siedem lat i kiedy pomagałam jednemu znajomemu, też po udarze, to ta rączka nagle wstała. Teraz prawie nie widać. No tak, pracowałam w dwóch miejscach – przy Pawiej, gdzie teraz jest Galeria Krakowska, i w jubilerze, gdzie byłam kierownikiem magazynu. W pierwszej pracy rozstaliśmy się za porozumieniem stron, z drugiej odeszłam. I potem poszłam na rentę. Strach? Nigdy się nie bałam, absolutnie, przecież tyłu kolegów było. Pan dzielnicowy przychodził do nas sprawdzać, czy nie zamarzliliśmy. Jak mnie nie było, to pytał, gdzie jestem. „Poszła na

spacer”. „Ale przyjdzie?” „No przyjdzie”. Wrócić? Przy córce bym sobie nerwy psuła, a może nie, ale myślę, że ona się nie zmieniła aż tak bardzo. Ona jest dorosłą kobietą, ale...Ja zrobię kiedyś tak, żeby się z nią zjednać. W końcu to moje dziecko jest.

A. dosiada się do nas, kiedy rozmawiamy. Chętnie podzieli się swoją historią. Jest rok młodsza od D. Ma sześćdziesiąt trzy lata, ale osobowość zupełnie inną. Mówi cicho, wolno, zastanawia się dłużej nad każdym słowem. Ubrana na sportowo, ma krótkie, siwe włosy, zero biżuterii poza pierścieniem-różańcem na palcu.

Miałam dom, ale zrzekłam się spadku na rzecz syna. Potem mieszkalam z partnerem prawie piętnaście lat, ale kiedy wrócił z więzienia jego syn, to musiałam na gwałt się wyprowadzać. Byłam mężatką dwukrotnie. Pierwsze małżeństwo było nieudane, a drugie trwało do śmierci mojego męża. Pierwsze małżeństwo to były takie pozory. Matka wymusiła na nim ślub kościelny, choć on był zdeklarowanym ateistą. Ukrywał przede mną, że był epileptykiem, to dopiero potem wyszło. Byliśmy małżeństwem w sumie trzy lata i mamy syna. Potem powtórnie wyszłam za mąż. Rok było idealnie, ale potem znów niewypał. Z tym, że drugi mąż był zaradny, no ale też borykałam się z jego piciem, a potem była przemoc z jego strony. Na dzieciach nie, ale na mnie. To w sumie trwało sześć lat. Nie mówię, że codziennie, ale były pewne uszkodzenia, byłam w szpitalu. Ktoregoś razu jak przyszedł pijany, to wzięłam nóż i mówię do niego: „To ja cię teraz zabiję”. Mam żółte papiery. Bo ja się leczyłam na nerwicę, a on to przerobił, że ja jestem psychiczna. Dał mi broń do ręki. On się wystraszył i wołał babcię. Bo ja w jego domu mieszkalam. I mówię do niej: „Babciu, proszę wyjść”. Kopnęłam go w jądra i on upadł. No i na drugi dzień mówi do mnie, czemu ja tego nie zrobiłam od początku. „Słuchaj, człowieku – mówię – mój ojciec jaki był, taki był, ale nie było czegoś takiego, że on mamę bije”. Nas jako dzieci czasem. Ja byłam bardzo żywiołowym dzieckiem, brat nie, więc ja dostawałam.

Wybrałam szkołę z internatem, od tatusia jak najdalej. W końcu mamusia doprowadziła do rozwodu, też mnie brała jako świadka, ale ja nie poszłam. Brat poszedł, ale nie było potrzeby, bo ojciec sam się przyznał, że był złym ojcem, złym mężem. Facet na stanowisku. On długo nie chciał zaakceptować, że jest alkoholikiem. Byłam kiedyś u niego. On teraz jest na Łanowej na oddziale psychiatrycznym. Ja mieszkałam u teściowej, ale ona mnie nie tolerowała i powiedziała mi kiedyś otwarcie: „Ja cię zniszczę”. Moja mama miała depresję maniakalno-lękową, choć mój tatuś to przerobił na schizofrenię. I ta schizofrenia tak długo wokół krążyła, że teściowa mówiła, że ja też zachoruję. Nie wiem, skąd ona miała taką wiedzę, bo ja wiem, że schizofrenia się w młodym wieku objawia, a nie jak ja już miałam dwójkę dzieci. Córeczka nie żyje. Mam dwóch synów. Syn z pierwszego małżeństwa ma czterdzieści lat i z drugiego – trzydzieści siedem lat. Po śmierci córeczki ja już nie dawałam sobie rady i zaczęłam sięgać po alkohol. Córnka zmarła, jak miała osiemnaście miesięcy. Poparzenie. Mieszkaliśmy w fatalnych warunkach, tu budowa, tam coś. I w końcu pękłam. Rok byłam z nim w separacji, potem sędzina przyznała zaocznie alimenty. Musiałam podjąć pracę – sprzątanie. Mama mi pomagała, nawet ojciec raz w miesiącu dawał trochę pieniędzy. I jeszcze teściowa wtedy do sądu wniosła, że niby mój mąż nie ma środków, a jeśli już, to żeby alimenty były płacone na moją mamę, bo oni chcieli zrobić ze mnie osobę, która wszystko przepija. A to on wszystko sprzedawał, przepijał. Dobrze, że miałam tę mamę, to był prawdziwy przyjaciel. Ale później mama zmarła na raka. Była pielęgniarką, więc pomoc medyczną mam w jednym palcu. Wykształciła we mnie też taką chęć niesienia pomocy. I jestem wyczulona do dziś na ludzką krzywdę, nieszczęścia, a już nie daj Boże jakby się coś dziecku działo. Ja już wcześniej, przed śmiercią mamy, mieszkałam z tym moim przyjacielem. I tam czułam wreszcie bezpieczeństwo. On chciał ze mną ślub, ale ja mu powiedziałam, że absolutnie nie wchodzę w to, trochę za

dużo przeszłam. Dwa małżeństwa – to dla mnie za dużo. Umieliśmy ze sobą rozmawiać, to jest ważne, on mi sam powiedział: „Jak ty umrzesz wcześniej, to ja idę za tobą”. I ja wiem, że on mógłby to zrobić. Różnica wieku między nami była czternaście lat, a byliśmy ze sobą też czternaście lat. I zachorował, miał wylew, nie było z nim już kontaktu, ja nie dawałam rady się nim opiekować. Wrócił ten syn z więzienia i jak mówiłam na początku, musiałam się wyprowadzić. Przyjechałam do Krakowa, bo mieszkaliśmy za miastem, i kręciłam się wtedy po galerii, żeby się ogrzać, i jeździłam nocnymi pojazdami. Spałam na Krakowiaków, później byłam na ogrzewalni na Rozrywki. Potem byłam na Malborskiej, Sołtysowskiej. Tam babiniec, a ja jestem na pewne konflikty uczulona, zawsze czułam, że gdzieś tam odstawę i nie mam kogoś, z kim mogłabym rozmawiać, mieć wspólny język. Wtedy już się inaczej idzie, inną drogą. Jak byłam na Malborskiej, to z początku wszystko było dla mnie szokujące, bo odeszłam od Boga. Ja do swojej spowiedzi przygotowywałam się trzy miesiące z okresu dwudziestoletniego. I wtedy to przytulisko dla kobiet prowadziła pani Mirosława, była założycielką i ona ściągала z dworców, szła i nie bała się, ratowała to, co mogła ratować. Oprócz tego była psychologiem, zrobiła kurs pielęgniarstwa, więc miała bystre oczy, wyczuwała. Pamiętam jak dziś, jak ona mi powiedziała, w imieniny chyba: „Ty się odkłamałaś”. A to był okres, kiedy ja byłam bardzo zamknięta, praktycznie nie mówiłam nic, i ja jej powiedziałam, że ja taką drogę krzyżową przechodziłam – wstawałam, upadałam, wstawałam, upadałam, ale to był taki dobry okres – te lata 1999 i 2000. Mirosława wtedy wyjechała na miesiąc, a taka Ela sterowała siostrą Gerardą, która ją zastępowała, i sytuacja zrobiła się przykra. Aż ciężko było oddychać. Ona (Ela – przyp. red.) się do tego stopnia posuwała, że jak ja do kogoś dzwoniłam, to ona stała za mną. Ona nie miała znikąd pomocy, a mnie synowie przynosili pewne rzeczy. Tak, mamy kontakt, ale jeden syn jest bardziej zamknięty w sobie, teraz się rozchodzi z żoną,

bo tam wystąpił konkretny konflikt, i bardzo to przeżywa, bo mają trójkę dzieci, które bardzo kocha. A ona mu zabroniła kontaktów ze mną, z bratem. Przez ten czas chodziłam też na Smoleńsk na świetlicę i tam poznałam kolegę, który zaprowadził mnie w jedno takie miejsce, gdzie można było spać – do pustostanu przy Bohaterów Getta. I tam mieszkałam półtora roku, aż w końcu go zburzyli. Dobrze, że akurat byłam tam w tym dniu, bo słyszę hałas, wychodzę i mówię: „Co tutaj się dzieje? O, cholerka, niedobrze”. I facet pyta: „A co pani tu robi?”. „Koczuję”. „Ile?” „Półtora roku”. I on gąty. To proszę, czy można do rana poczekać, bo ja tu mam dokumenty i chcę popakować to, co dla mnie najważniejsze. Dobrze. Przystał. Tak że chociaż tyle. Bardzo mi też panie z MOPS-u pomogły. Najpierw pani Magda, teraz pani Kasia, bo to rejonowo jest. Ja wtedy też popijałam i w końcu Mateusz, który prowadzi Zieloną Miłą na Loretańskiej, tak mnie załatwił: „Musimy porozmawiać. Tęsknimy za panią, nie wiemy, co się dzieje”. Bo ja tam wcześniej chodziłam. No i zaczęłam znowu tam chodzić. I mu mówię, że się załamalam, złamałam abstynencję, a on podsunął mi terapię odwykową, bo ja się już wcześniej takiej podjęłam i nie piłam przez trzy lata, ale to za mało. Może dlatego, że nie przerobiłam do końca tych dwunastu kroków. I teraz myślę o sobie. Bo ja robię to dla siebie. Nie robię tego dla dzieci, dla wnuków, robię to dla siebie. I idę teraz krok po kroku, i nie ma tak, że ja wszystkim wszystko załatwiałam, tylko sobie nie. To jest tak zwany zdrowy egoizm. I dlatego się bardzo cieszę. Byłam dzisiaj na Warszawskiej na śniadaniu, bo mnie tam siostra bardzo lubi, wie, że nie szukam tam żadnego chłopca. Ja mam swoje zainteresowania. W lecie chodziłam sobie kaczusie karmić przy fontannie, siedziałam sobie spokojnie, czytałam. Miałam taki wewnętrzny spokój, że nie widzę tych pijanych, bo na razie to dla mnie bomba zegarowa. Mam brata, ale jak przyleciał z Australii, to powiedział, że my jesteśmy patologia. To, że ja mam te kłopoty, to nie znaczy, że jestem aż tak patologiczna.

Bo ja znam matki, które są bardzo złe dla swoich dzieci, a już jak są pijane, to agresywne. Ja nigdy złego słowa o ojcu nie powiedziałam, a mogłam. Była zresztą próba z ojcem. Kiedyś przyjechałam w odwiedziny, a on mnie prosi, żebym została, bo on będzie umierał. Szok. No dobra, szybka organizacja, bo pokój, aneks kuchenny, łazienka, więc ja sobie na podłodze wszystko ogarnęłam. On się z jednej strony ucieszył, ale później, jako że już był długo sam, to coś tam zaczęło mu przeszkadzać. Jak to starszy pan, zaczął mi jakieś obwarowania robić. Teraz wiem, że najpierw ja i relacje międzyludzkie. Bo ja od tego uciekłam. Bo ja jestem gorsza. Tak mają ludzie tacy jak ja, którzy się mają za stracenców. Człowiek jest zakompleksiony, ma wyrzuty sumienia, które bardzo przeszkadzają. Ja mam bardzo dużo samokrytycyzmu. Jako matka zwracam się do dzieci o przebaczenie, że popełniłam błędy, też wychowawcze, i żeby mi to wybaczyły. Ja się po śmierci córki tak zalałam. Chłopcy mieli sześć lat i trzy lata, ale nie było tak, że oni mnie widzieli upojoną. Bo ja w towarzystwie piłam. I wytłumaczono mi potem, że ja piłam po męsku. Ale dopiero później zrozumiałam sens tego, bo do pewnych rzeczy się dojrzeła. I teraz wszyscy na Loretańskiej się cieszą, bo ja tam jestem lubiana. Mówią mi tam, że się bardzo cieszą, że ja to robię dla siebie. Muszę coś naprawić, pewne nawyki wyeliminować i po prostu się odkłamać, co też jest warunkiem. Marzenie? Stabilizacja mieszkaniowa i wyciszenie, bo nieraz tak właśnie uciekałam – książka i tak mi było dobrze. Bo jeden opowiada o tym, inny o tym, a mnie nie chce się tego słuchać. Na razie jestem na tej ogrzewalni, ale mam w planie przenieść się na Sołtysowską. Ja raz tam byłam i niestety mam przykre wspomnienia, bo tam są kradzieże, a ja tego nie toleruję. Powiedziałam do pedagog i psycholog: „Kochane panie, wsadziliście mnie do trzyosobowego pokoju i kiedy tam wystąpi konflikt, a na pewno wystąpi, to ja będę chciała go rozwiązać, a nie będę z bzdurami latać do was, bo gdzie my jesteśmy”. Dyżury wypełniałam i od razu

wracałam, bo mnie te jałowe tematy nie interesowały. Ja mogłam w ich oczach wyglądać jak zarozumiała czy coś, ale po prostu ja taka jestem. Synowie? Oni mnie szukali. Mówili: „Mamo, babcia chciała, żebyś wróciła, mówiła, że co się będziesz poniewierać”. Wtedy syn pierwszy raz mnie zapytał, bo nigdy wcześniej nie pytał: „Mamo, gdzie ty jesteś, gdzie ty mieszkasz?”. Dlatego ja im nic nie mówiłam. Żeby nie wyszło, że ja się żalę. I on się pyta, co to jest ta ogrzewalnia, to ja mu mówię, że to jest tak, że od dziewiętnastej do dwudziestej drugiej wchodziś, a o siódmej rano musisz wyjść. Jest się gdzie wykąpać, ale jeśli chodzi o chemię, to musisz mieć własną. Rzeczy jako tako nie musisz tam trzymać, bo to jest ruchome – dziś jesteś, jutro cię nie ma. Tam jest tylko okres ochronny od 1 listopada do końca marca. Poznałam panią dyrektor, całkiem sympatyczna kobieta. Bo to jest budynek, gdzie są kobiety z przemocą, a dla nas tylko tak wydzielili. A Sottysowska i Malborska to dwa punkty takie bardziej stałe. I mówię mu: „Dziwne, żeś się zapytał, bo nigdy mnie nie pytales”. Nie ja wyszłam z tym, bo jeżeli ktoś sam nie wychodzi, to ja nie wyjdę. Spotkałam się z dobrymi ludźmi. Wolontariusze z różnych organizacji przychodzili do nas do pustostanu na przykład. Dzisiaj jadę do mojej koleżanki, która ma cukrzycę. Ona nigdy nie miała problemu z alkoholem i na przykład jej partner dał mi koszulkę, żebym miała na przebranie. Dzięki Janowi Pawłowi II jest też Światowy Dzień Ubogich i my mamy ten duży namiot w Krakowie, gdzie się zjeżdżają ludzie z całej Polski. Byłam tam też i mówię do niektórych: „Wy zachowujecie się jak bydło i ludzie mają pretensje”. Bo mają. Żebyście się nie umieli zachować, po kątach pić alkohol. Mówię: „Docęńcie to żeż do cholery”, a nie jedni się biją, drudzy wyzywają. Trzeba uszanować te miejsca, bo to jest ważne. Nie wyobrażam sobie tam przyjść pijana, bo ja to naprawdę szanuję, mam swoje zasady. Jak wcześniej piłam, to nigdy nie przyszłam, wstydziłabym się. Trzeba przyjść trzeźwym i szanować to, co dają. Bo tak to powinno działać.